XX Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Marii Komornickiej
Kozienicki Dom Kultury im. Bogusława Klimczuka – KOZIENICE 2022
Dariusz Karabela – kategoria dorośli – proza – wyróżnienie

Godło: Mazurjanin

Jeden dzień z życia psychiatryka

Jestem nareszcie wolny i mogę korzystać z życia. Właśnie idę sobie ulicą, tam gdzie mnie oczy poniosą. Bardzo lubię długie spacery. Dzięki temu poznaje przyrodę oraz nowych ciekawych ludzi. Nagle słyszę gdzieś w oddali głos, jakby skierowany do mnie: „Panie kolego, panie kolego niech pan już wstanie, już śniadanie". Powoli i opornie wracam do siebie. Wspaniały sen o wolności (który mi się śni co noc) niestety się skończył. Otwieram klejące się jeszcze powieki i znów widzę ten przygnebiający szpitalny pokój. Usiadłem na łóżku i w tej pozycji trochę przysypiam. Nic mi się nie chce robić, tylko płakać. Wokół mnie kręcą się inni pacjenci. Z korytarza słyszę znajomy hałas, to wózek którym codziennie przywożą wszystkim posiłek. Jestem cały czas senny i brak mi sił w nogach. Od lekarza się dowiedziałem, że to są skutki uboczne działanie leków. W dalszym ciągu siedzę sobie przygnębiony na łóżku i znajduje chwilowe ukojenie w stanie półsnu. Naturalne lekkie zamroczenie jest dla mnie zbawieniem. Dzięki temu tak bardzo nie czuję bólu istnienia, który przeszywa moją chorą cierpiącą duszę.

Któryś z pacjentów zostawił cieknący, niedokręcony kran. Słyszę miarowe i monotonne: kap, kap, kap. Ten odgłos jest dla mnie irytujący i właśnie on ostatecznie przywraca mnie do rzeczywistości. Z dość dużym trudem udało mi się wstać i podejść do umywalki. Zimna woda przyjemnie mnie otrzeźwiła. Na krótką chwilę poczułem się trochę lepiej. Miałem odwagę spojrzeć w lustro. Na mojej twarzy rysowała się bezsilność, a oczy zaczęły wilgotnieć. Stojąc pod lustrem powiedziałem sobie: „Chłopie co się z tobą dzieje, ty jesteś przecież teraz w szpitalu psychiatrycznym." Niestety była to prawda i musiałem się z tym pogodzić. Szurając kapciami, ze spuszczoną głową poszedłem na jadalnię. Musiałem swoje odczekać w długiej kolejce. Czasami nie miałem siły stać, to tez kucałem bądź opierałem się o ścianę. Wziąłem posiłek, po czym usiadłem sam w rogu sali. Z przyborów miałem łyżkę oraz widelec i właśnie tym musiałem zawsze smarować chleb. Noży oczywiście nie było, ze zrozumiałych względów. Powoli przeżuwając chleb patrzyłem bezmyślnie w okratowane okna. Zawsze w czasie posiłków było mi bardzo przykro. Objawiało się to ty, że czułem jak żołądek podchodzi mi pod samo gardło. Po wielu tygodniach spędzonych w szpitalu marzyłem o powrocie do domu. Czułem się tutaj jak w więzieniu i w nieskończoność wegetowałem. Ze stanu zamyślenia wyrwał mnie krzyk pielęgniarki: „Proszę kolegi! Proszę kolegi!" Musiałem iść i ustawić się w kolejną utrapioną kolejkę. Większość personelu traktowała nas pacjentów bardziej przedmiotowo niż podmiotowo.

Kilka dni temu miałem silny atak bólów psychogennych. Gdy się zgłosiłem do tak zwanego punktu po pomoc, to jedna z pielęgniarek prosto z mostu mi powiedziała, że ja symuluję i dlatego ona nie wezwie lekarza. Na szczęście ktoś inny z personelu nade mną się zlitował i dał mi środki przeciwbólowe. Niestety one bardzo często mi nie pomagały i musiałem samotnie przez wiele godzin walczyć z tym fizycznym cierpieniem, które się brało nie wiadomo skąd. Ten ból doprowadzał moją osobę do obłędu i zdarzyło się raz, że straciłem nad sobą kontrolę, to znaczy że byłem na krawędzi samobójstwa. Po przyjęciu leków poszedłem do swojej ośmioosobowej sali i czekałem na obchód. Na czele dużej grupy lekarzy oraz pielęgniarek zawsze szła pani ordynator, pan i władca całego oddziału, ponieważ ona za wszystko odpowiadała i podejmowała najważniejsze decyzje. Jej świta weszła na szpitalną salę i w pierwszej kolejności otoczyła mnie. Zawsze było to samo pytanie pani ordynator:

„Jak się pan czuje”. A ja każdego dnia odpowiadałem tym samym zwrotem: „Żadnych lęków oraz bólów depresyjnych nie było”. Tego zdania zdążyłem się już nauczyć na pamięć i zawsze starałem się je powiedzieć jak najbardziej przekonująco. Chciałem być wiarygodny, może dzięki temu uwierzę, że się nadaję na wyjście na przepustkę do upragnionego domu. Mijały kolejne dni, a ja wciąż byłem w szpitalu. Mój misternie opracowany plan kompletnie zawiódł. Gdy się skończyła ta rutynowa inspekcja poszedłem pochodzić po korytarzu, krążyłem jak struty w kółko tam i z powrotem. W czasie marszu mijałem bardzo różnych ludzi, którzy też chodzili bez celu, ponieważ nie było nic innego do roboty. Bałem się dnia i tęskniłem za porą wieczorną. Czas dłużył mi się niemiłosiernie. Powietrze wokół mnie było przesiąknięte nudą, a nade mną wisiała ciężka jak ołów melancholia. Doprawdy nie wiedziałem co ze sobą zrobić, co chwilę spoglądałem na zegarek i nie mogłem się doczekać kiedy w odwiedziny przyjedzie mama. Za którymś nawrotem postanowiłem zajrzeć do świetlicy i dla zabicia czasu zacząłem bezwiednie przeglądać gazety. Zupełnie mnie to nie interesowało, ale przecież musiałem się czymś zająć. Powód był prosty: DLA DOBRA WŁASNEGO. Nagle coś zaczęło się dziać. Do świetlicy weszła Agnieszka i zaczęła śpiewać słowa reklamy telewizyjnej: „Jogobela Jogobela…” Akurat ta piosenka jest właśnie w tej chwili emitowana w programie pierwszym. Ta dziewczyna trochę śpiewała a później wróciła na korytarz. Zrobiło mi się bardzo duszno i podszedłem do okna. Przez otwarty maleńki lufcik zacząłem wciągać głęboko do płuc świeże i życiodajne powietrze wolności. Przez okratowane okno widziałem ludzi idących po chodniku. Pomyślałem sobie: „Dlaczego ja tu jestem, za jakie grzechy?” Moje serce ścisnął spazmatyczny żal, a po policzkach popłynęły łzy goryczy. Stałem tak nieruchomo przez kilka dobrych minut i bardzo zazdrościłem ludziom na ulicy. W przypływie gniewu chwyciłem zimne żelazne kraty i zrozumiałem, że szybko z tej szpitalnej klatki nie wyjdę. To moje odrętwienie trwałoby dalej gdyby nie przeraźliwy krzyk dochodzący z głębi korytarza. Zostałem nagle wyrwany z marazmu i spontanicznie wybiegłem na korytarz sprawdzić co tam się dzieje. Momentalnie zrobiło się małe zbiegowisko. Okazało się, że ktoś z płaczem zaczął się czołgać na podłodze szpitalnego korytarza. Szloch tej dziewczyny (rozpoznałem w niej Agnieszkę) zaniepokoił personel. „Ja tu już jestem pięć miesięcy. Ja stąd chyba nigdy już nie wyjdę. Zostanę tutaj do końca życia”. Płaczącą kobietę, która dostała ataku histerii pielęgniarki szybko podniosły i zaprowadziły do punktu w celu zrobienia odpowiedniego zastrzyku. A ja stałem i z ciężkim sercem obserwowałem ten gorzki epizod z życia szpitala.

Wkrótce nadeszła pora obiadowa i cały ten rytuał wydawania posiłków został powtórzony. Jedząc obiad usłyszałem, że ktoś dzwoni do drzwi głównych, akurat kończyłem posiłek. Poszedłem aż po same drzwi główne oddziału (które zawsze były zamknięte na klucz) i zobaczyłem że czeka na mnie mama. Ten widok bardzo pokrzepił moją wrażliwą duszę. Chwilę później byłem z nią na sali. Ja leżałem na szpitalnym łóżku a mama cały czas siedziała blisko swojego rodzonego syna. Przywiozła mi jak zawsze trochę słodyczy oraz owoców. Musiałem tego pilnować jak źrenicy w oku, ponieważ kradzieże na oddziale były na porządku dziennym. Z mamą rozmawiałem przez kilka godzin, cały czas trzymałem ją za rękę. Ciepło jej dłoni dawało mi poczucie, że nie jestem sam, że ktoś bliski jest przy mnie w tych bardzo ciężkich dla mnie chwilach. Ani wcześniej, ani później nie miałem z moją rodzicielką tak dobrego i wspaniałego kontaktu. Moja choroba bardzo nas do siebie zbliżyła i zniwelowała między nami wszelkie nieporozumienia. W naszych kontaktach zapanowała idealna harmonia. W pierwszej chwili ona do mnie powiedziała znamienne słowa, jedyna w swoim rodzaju: „Kocham ciebie”, a ja wspaniałomyślnie odpowiedziałem: „Ja też ciebie kocham mamo”. Po raz pierwszy w życiu wyraziliśmy sobie nawzajem uczucie miłości. Wcześniej wszystko było za pomocą gestów i nie było tak zwanych wielkich i mocnych słów. Potrzeba było naprawdę wielkiego kryzysu i tak niezwykłych okoliczności żeby tłumione uczucia wydostały się na światło dzienne. Czasami z mamą przyjeżdżał mnie odwiedzić mój

młodszy brat Piotrek. Gdy byłem w szpitalu bardzo mi go brakowało. Nawet któregoś razu zapisałem w swym zeszycie: „Mój kochany braciszek Piotruś”. Właśnie w tym zeszycie prowadziłem zaimprowizowany kalendarz. Codziennie wieczorem zaznaczałem w nim, że minął kolejny dzień mojego szpitalnego koszmaru. Miałem też zaznaczone w jakie dni będę miał odwiedziny mamy. Długa wizyta kiedyś musiała dobiec końca. Z całych sił uściskałem mamę i pocałowałem ją w policzek. Z naprawdę ciężkim sercem żegnałem tę bardzo bliską mi osobę. Mama wyszła tuż przed kolacją a ze mną zaczęło się dziać coś niedobrego. Uświadomiłem sobie, że dostałem ataku silnego lęku. Cały czas leżałem skulony na swoim łóżku i czułem silny ucisk w okolicach żołądka. To był silny stres, byłem autentycznie zdenerwowany, ale przed czym się denerwowałem niestety tego nie wiedziałem. W czasie lęku poczułem się bardzo samotny i miałem bardzo złe samopoczucie. Zimny pot wystąpił na moje czoło. Patrzyłem na śpiącego obok pacjenta i pomyślałem dlaczego ja nigdy nie mogę spać w dzień. Ataki lęków oraz bólów przychodziły nagle. Momentu ich wystąpienia nie można było przewidzieć. Po jakimś czasie poszedłem do punktu, miałem szczęście, trafiłem na młodą i ludzką pielęgniarkę. Za parę minut pojawił się lekarz psychiatra i kazał mi zrobić zastrzyk. Trochę ze mną porozmawiał nie widomo o czym, no i to było wszystko na co było go stać. Ze swym nieodłącznym lękiem zostałem sam i sam tez musiałem sobie z nim poradzić. Po kilku minutach wyszedłem z zabiegówki i udałem się w przeciwległy koniec korytarza. Po drodze spotkałem starsza grubą kobietę, która nuciła te oto słowa: „Gdzie jest ten dom, gdzie jest ta ulica…” Zatrzymała mnie i spontanicznie wzięła pod rękę. I w ten naturalny sposób zaczęliśmy razem spacerować. Cały czas prosiła żebym tę piosenkę śpiewał razem z nią, no i zacząłem śpiewać i nawet trochę się rozluźniłem. Mój stres stopniowo i powoli zaczął mijać, pewnie zastrzyk zaczął działać. Szybko poczułem się zmęczony i zrobiłem się jakiś apatyczny. Wreszcie udało mi się dotrzeć na koniec korytarza do mojego ulubionego miejsca. Moim ulubionym sposobem spędzania czasu było leżenie tam wprost na podłodze z głowa oparta o ścianę lub ewentualnie o drzwi ewakuacyjne. Powoli zaczął zapadać zmrok, tam gdzie leżałem było coraz mroczniej. Byłem z tego zadowolony, bo przynajmniej nikt mnie nie widział. Za mną było wiele godzin leżenia, podczas których obserwowałem co się dzieje na korytarzu. Ciągle ktoś się krzątał, nic praktycznie się nie zmieniło. Czas powoli płynął swoimi meandrami, praktycznie stał w miejscu. Każdy dzień był podobny do poprzedniego jak dwie krople wody. Niedaleko mnie znajdowała się „obserwacja”, tam były najgorsze przypadki. Był czas kiedy tam byłem i to przez cały tydzień pod zamknięciem. Gdy tam przebywałem, to cały czas byłem niespokojny, a sanitariusze wcale się z niektórymi pacjentami nie patyczkowali.

Wstałem i poszedłem do punktu po tabletki nasenne. Pewien pielęgniarz je mi dał i powiedział do mnie: „A teraz pan pójdzie na zasłużony spoczynek”. Położyłem się do swojego łóżka, zamknąłem oczy i zacząłem myśleć o domu. Moje całe ciało było zatopione w mroku. Za oknem mżył wieczorny majowy deszcz. Do sali wpadał mały promyk światła od żarówki w korytarzu. Stopniowo zacząłem się zanurzać w krainę snów i znów do mnie przyszedł sen o wolności. Jest mi dobrze, zapomniałem o wszystkim.